**Karolina Guzowska, wiek 17 lat, I Liceum Ogólnokształcące im. Wł. Broniewskiego
w Bolesławcu**

Temat: Gorzko-słodkie smaki życia w PRL-u, czyli Bolesławiec i jego mieszkańcy z tamtych lat. Opowiadanie na podstawie wspomnień babci lub dziadka – absurdy życia, sytuacje typowe dla tego czasu, które przeszły do historii rodziny, zapamiętane zabawne lub przejmujące sytuacje, radości i trudności codziennego życia, atmosfera miasta w tamtych czasach.

Nieznośny, miarowy stukot uczniowskich bucików towarzyszący ich marszowi wokół boiska przebija się przez potok moich myśli. To po to zostałam nauczycielką? Co za bezsens, od tygodnia wszystko wygląda tak samo, a ćwiczyć będziemy jeszcze każdego dnia przez kolejny tydzień. Nawet dzieci mają już dość. Na początku przyjmowały brak lekcji
z entuzjazmem, teraz jednak widzę po ich znużonych minach, że wolałyby siedzieć w klasie
i dukać kolejne zdania czytanki z elementarza. Mimo to wszyscy maszerują równo jak od linijki, bo jeszcze nie jest idealnie, a musi być. Dziesiątki prób i zmarnowanych lekcji tylko po to, żeby 1 maja z wyćwiczoną dumą przemaszerować w pochodzie przed trybunami pełnymi oficjeli. To w sumie zabawne, dokładnie to samo działo się 30 lat wcześniej, w latach 50- tych, kiedy to ja uczyłam się pilnie kroku marszowego. I teraz też musimy zaprezentować się najlepiej na tle innych szkół. A przy okazji zostaną przedstawione wszystkie nasze spektakularne sukcesy i osiągnięcia nieprawdopodobne w skali miasta, a może i kraju. Posłuchamy też, jak dobrze się nam żyje i dlaczego jest tu lepiej niż na zachodzie. To zadziwiające jak źle musi tam być, skoro wstępując do sklepu po herbatę, której brak zauważyłam dzisiaj rano, znalazłam na półce tylko ocet i musztardę. Nic się nie zmieniło.

 \*

- Pani tu nie stała! - zwraca mi uwagę ktoś za mną. No nie stałam, więc cofam się posłusznie. Spoglądam na ludzi przede mną (jest ich chyba z piętnaścioro­) i na zegar wiszący na ścianie naprzeciwko. Za godzinę mam być w pracy, tymczasem już od 20 minut sterczę w tej kolejce, a ludzi zdaje się nie ubywać. Odczekuję 5 minut i próbuję innej taktyki - przechodzę do kolejki do innej lady i dzięki temu przesuwam się o trzy miejsca do przodu. Może trafi mi się kawałek schabu - myślę w duchu, kiedy nikt nie zwraca uwagi na moje manewry. Przepycham się do przodu o kolejne dwa miejsca.

- Przepraszam, a pani tu nie stała! - rzuca inny zniecierpliwiony kolejkowicz. Znów się cofam, chociaż czas ucieka nieubłaganie, a ja naprawdę potrzebuję tego kawałka mięsa! Zerkam na zegar i widzę, że zostało mi 15 minut. Nie mam już nic do stracenia. Wykorzystuję kłótnię, która wybuchła pomiędzy ludźmi stojącymi w kolejce przede mną i przesuwam się prawie na sam jej początek. W ferworze narastającego konfliktu nikt mnie nie zauważa, nawet ten rozdrażniony sytuacją mężczyzna. Może przymknął oko, a może mnie znał - to nie jest teraz istotne, najważniejsza jest lada, przy której właśnie się znalazłam. Kawałek odciętej kartki na mięso spada delikatnie na blat, a ja łapię marnej jakości łopatkę (tyle z mojego wymarzonego schabu…) i wychodzę ze sklepu.

 W tempie godnym mistrza lekkoatletyki (bo winda oczywiście nie działa) przemierzam schody prowadzące na ósme piętro i zdyszana wpadam do naszego mieszkania. Nie ściągam nawet butów, tylko od razu biegnę do kuchni. Nacieram mięso solą i pieprzem,
i wkładam do lodówki - upiekę na obiad, jak wrócę z pracy. Siadam przy stole, próbując złapać oddech. Biorę do ręki metalowy koszyczek ze szklanką zimnej już herbaty. Zostawiłam ją przed wyjściem naiwnie myśląc, że kiedy wrócę, będzie jeszcze ciepła. Dopijam ostatni łyk, wstaję i wychodzę do pracy.

\*

 W drodze do szkoły mijam narysowane dziecięcą ręką na betonie schematy gry
w klasy. Przez jakiś czas podążam nawet za strzałkami, ale w pewnym momencie trop się urywa - musiały niepostrzeżenie skręcić we wcześniej mijaną przeze mnie uliczkę. Gdzieś
w krzakach widzę rzuconą w pośpiechu skakankę. Wszystko to pozostałości po wczorajszej popołudniowej zabawie.

 Wchodzę do pokoju nauczycielskiego nieświadoma jeszcze, że moje plany na dzisiejsze lekcje nie zostaną zrealizowane.

- Słuchaj, okazuje się, że ty nie będziesz dzisiaj miała lekcji, ktoś pójdzie za ciebie. Masz prowadzić zbiórkę pokazową… dzisiaj! - Wita mnie koleżanka, wychowawczyni klasy równoległej do mojej - Szkoła tam… gdzieś… przystąpiła do Klubu Otwartych Szkół, no…
i wiesz, oni dzisiaj będą nas wizytowali pod kątem zajęć pozalekcyjnych. Dyrektor powiedział, że ma być z pompą.

- No to będzie z pompą… - mruczę pod nosem, zastanawiając się, jak mam przygotować pokazową zbiórkę zuchową w godzinę.

 Przypominają mi się wyrysowane na chodniku strzałki, które mijałam przed chwilą. No może to jest to! Tak! Nie ma co się zastanawiać. Podchody! Dzieci uwielbiają podchody. Tylko muszę zdobyć cukierki. Kolejka w sklepie nie wydawała się bardzo długa, powinnam zdążyć. Zabieram się do wertowania książeczki z piosenkami. Ostatecznie stawiam na „Gdzie strumyk płynie z wolna”. Większość dzieci już zna tę piosenkę, więc pójdzie jak z płatka. No i oczywiście wrażenie będzie dobre! Wymyślam jeszcze prosty układ taneczny, tak dla urozmaicenia.

 Idąc do sklepu, zbieram po drodze kamienie i kawałki dachówek do rysowania strzałek. Mam pełno wątpliwości, a mimo wszystko liczę, że kartkę na kilogram cukierków, którą wcześniej schowałam do kieszeni, za moment uda mi się zrealizować. W myślach powtarzam słowa piosenki i kroki układu. Wydaje mi się, że jestem, a przynajmniej za chwilę będę, w pełni gotowa, by przeprowadzić tę niezapowiedzianą zbiórkę harcerską, jak gdyby była ona planowana co najmniej tydzień wcześniej. Co tam! Już nie raz byłam w takiej sytuacji i dałam radę.

 \*

Jest! Wyciągam z ekscytacją wyczekiwaną kopertę ze skrzynki na listy.

- Przyszedł list od dziadka! - krzyczę od progu i wszyscy z zaciekawieniem zbierają się
w kuchni. Odklejamy ostrożnie znaczek pocztowy i od razu umieszczamy w klaserze na specjalnym miejscu ze znaczkami amerykańskimi. Po otwarciu koperty wypada z niej paczka gum do żucia, cztery ołówki (po jednym dla każdego), plik jednodolarówek i list.

 Zaparzam gorącą herbatę (wreszcie udało się ją zdobyć), rozlewam do szklanek
i dosypuję każdemu po solidnej łyżeczce cukru - w końcu dzisiaj wyjątkowy dzień. Po kolei zapoznajemy się z zawartością przesyłki. Przeliczamy pieniądze, testujemy ołówki, grając na kopercie w kółko i krzyżyk, czytamy list i żujemy gumy. Staramy się odpowiedzieć dzieciom na pytania o życie w Ameryce, ale sami tak naprawdę nie znamy na nie odpowiedzi.

- Mamo, a możemy iść z tobą jutro do Pewexu?

- Możecie, pójdziemy po szkole.

- I kupimy czekoladę?

- Kupimy.

 \*

 Po obiedzie organizuję wyprawę do Pewexu po obiecaną dzieciom czekoladę. Przed sklepami monopolowymi zaczynają formować się kolejki za sprzedawaną tylko od trzynastej i na kartki wódką. Ja nie muszę tam stać, dzisiaj mogę ją po prostu kupić. Dzieci mają
w głowach swoje listy zakupów, a ja jestem gotowa je zrealizować – oczywiście na tyle, na ile pozwoli mi 10 dolarów.

 Ze sklepu wychodzimy z czekoladą, paczką papierosów, butelką wódki, piwem
w puszcze i polską szynką konserwową (o ironio!) firmy Krakus, którą oczywiście można kupić tylko w Pewexie i tylko za dolary. Wszyscy jesteśmy bardzo zadowoleni. Wracając ulicą Asnyka, dostrzegamy tłum ludzi kłębiący się przy sklepie odzieżowym. Czyżby coś rzucili? Warto sprawdzić. Może uda się kupić jakąś parę spodni, bo te, które donaszają dzieciaki, są już naprawdę zdarte. Przepychamy się do środka zbiegowiska, aby zobaczyć, co tak skupia uwagę mieszkańców Bolesławca.

 To ci widowisko! Na środku deptaka przed sklepem jest rozłożona scena, a po niej przechadzają się modelki. Dostrzegam wysoką dziewczynę ubraną w prosty, kobaltowy zestaw składający się ze spódnicy i żakietu – ostatni krzyk peerelowskiej mody. Tuż za nią podąża kolejna kobieta eksponująca zwiewną sukienkę w drobne kwiatki. Przewiązana jest brązowym, skórzanym paskiem i sięga jej do kolan. Kreację dopełnia ekstrawagancki kapelusz w kolorze paska. Zastanawiam się, komu uda się te szykowne ubranka kupić.

 Oglądamy pokaz mody jeszcze przez chwilę, po czym odrywamy się od licznej grupy obserwatorów i wracamy do domu, żeby w końcu spróbować wymarzonej czekolady. Po drodze mijamy dwie panie wracające najwyraźniej z domu handlowego „Bolko”.

- O, to dopiero nowe, a jakie oryginalne? Popatrzcie - klasa i styl! - dyskretnie, choć
z nieukrywanym uśmiechem na twarzy zwracam się do dzieci, równocześnie wskazując na przewieszone przez szyje kobiet korale. Właśnie udało im się je zdobyć! To korale z kilku rolek papieru toaletowego nawleczonych na sznurek.

⃰

- No a czego mogłam się spodziewać… - stwierdzam zirytowana, przekonując się, że winda dalej nie działa. Rozglądam się po obdartej, nieremontowanej od lat klatce. Spoglądam
w górę na niezliczoną liczbę schodów, które znowu muszę pokonać, aby dostać się na ósme piętro. Usilnie próbuję znaleźć sposób na dotarcie do mieszkania szybszą drogą. Wiem! Mój pomysł wydaje się świetny, dlatego od razu z entuzjazmem zabieram się do jego realizacji. Wychodząc z budynku, mijam zalanego w trupa mężczyznę, który (jak sam twierdzi) odpoczywa na schodku.

 Wchodząc do klatki obok w naszym wieżowcu, z wątpliwą satysfakcją sama do siebie stwierdzam, że wcale nie wygląda ona lepiej od mojej. No cóż, nie po to tu jednak przyszłam. Wszelkie moje obawy szybko rozwiewają otwierające się drzwi windy i wybiegający z niej trzej chłopcy. Czyli jednak działa! Jednocześnie zachwycona i zadziwiona faktem braku awarii urządzenia, nie dostrzegam, że chłopcy liżą… pokrywki od słoików. Wbiegam do windy i wybieram 11 piętro. Dopiero teraz dociera do mnie nietypowe zachowanie napotkanych przeze mnie przed chwilą chłopaków. Nie potrafię tego nijak wytłumaczyć, mimo że bardzo się staram. 9… 10…11… Jestem! Przechodzę przez strych i po chwili
z dumą staję na szczycie schodów w mojej klatce schodowej. Teraz muszę zejść dwa piętra
w dół, zamiast wchodzić osiem do góry.

 Zadowolona i zupełnie niezmęczona wchodzę do mieszkania, w którym… No właśnie, w którym czeka na mnie niezwykłe widowisko przygotowane przez mojego pełnego inicjatywy syna. To w mojej kuchni znajduję wytłumaczenie sytuacji sprzed windy, której za nic nie potrafiłam pojąć wcześniej. Na stole w kuchni leży kilka porozrzucanych zakrętek od słoików. Niektóre z nich są już wypełnione brązową, stygnącą masą. Pokrywa też ona wszystko dookoła: ceratę, podłogę i przede wszystkim ręce i buzię mojego syna, który stoi przy kuchence gazowej i coś na niej warzy w garnku. Obok niego dostrzegam dzbanek wody
i torebkę cukru, czyli prawdopodobnie składniki mieszanki, którą aktualnie próbuje nieporadnie przyrządzić.

- Przepraszam pana bardzo, czy ja panu czasem nie przeszkadzam? - pytam najpoważniejszym tonem, na jaki udaje mi się zdobyć, obserwując tę komiczną sytuację.

- Yyy… Nie mamo. - pada niepewna odpowiedź przyłapanego przeze mnie na gorącym uczynku urwisa - Wiesz co, wymyśliliśmy z chłopakami patent na lizaki. Są przepyszne! Jak będą gotowe, to dam ci jednego spróbować i sama się przekonasz. Teraz, jak chcesz, możesz polizać pokrywkę, spróbuj, proszę.

⃰

 Upalne słońce lipcowego popołudnia nie daje ani chwili wytchnienia. Mimo wszystko postanawiam pójść na spacer, muszę jednak najpierw zawołać dzieci, przecież są bez obiadu! Ciekawe gdzie się znowu szwendają, skoro nawet nie słyszą, że wyglądając przez okno, wołam je na ich ulubioną zupę.

 Pierwsze co rzuca mi się w oczy, to stojąca nieopodal wielka kolejka składająca się głównie z… dzieci. Nie… no, to już jest przesada! Ci ludzie nie mają serca! Żeby te biedactwa musiały sterczeć w tym upale! To nieludzkie, one tu wszystkie zaraz popadają! Myślę oburzona, kiedy nagle dostrzegam, że to wcale nie jest kolejka do sklepu. To kolejka do … saturatora! To ci interes!

Wychodzę z domu, aby osobiście odszukać moje zagubione w lipcowym skwarze pociechy. Zaciekawiona podchodzę bliżej zbiegowiska, pośród którego króluje mężczyzna
z saturatorem.

- Z sokiem żółtym, czerwonym, czy mieszane? – pyta obsługujący urządzenie.

- Dla mnie z żółtym, dla kolegi mieszane. – odpowiada spragniony malec.

Chłopcy dostają swoje zamówienie, płacą, odchodzą na bok i wypijają całą gazowaną wodę jednym haustem. Oddają szklanki sprzedawcy. Ten przepłukuje je tylko zimną wodą
i od razu przechodzi do realizacji kolejnego zamówienia. Następni klienci wypijają swoją orzeźwiającą ciecz i … tak jak poprzednicy, oddają szklanki do „mycia”. Wszystko odbywa się w odpowiednim tempie, nikogo nie dziwi wspólna obmyta kroplą zimnej wody szklanka. Ważne, że można zaspokoić pragnienie w ten szczególnie upalny dzień.

W sumie dobrze się składa, bo też bym się czegoś napiła. Kierując się na koniec kolejki, napotykam moje uradowane dzieci. Dołączam do nich i pytam:

- To jaką bierzecie? Dla mnie będzie z czerwonym.

⃰

 Metalowy uchwyt nagrzał się tak bardzo, że muszę chwilę poczekać, zanim napiję się kawy.

- … no i mówię ci, przechodzę tamtędy, a tam tłum - jak w kościele. Ludzie stoją i czekają jak kanie dżdżu na tej milicji, no bo i co mają robić. Słyszałam ostatnio, że z tego handlu
w Jugosławii to nawet niemałe pieniądze są, dlatego tak jeżdżą chętnie. Tak czy inaczej, co się biedaki nastoją na tej komendzie po paszporty, to głowa mała.

- Wiesz, jak chcą wyjechać i zarobić, to będą stali tak choćby do rana. - stwierdzam
z przekonaniem, uśmiechając się do mojej rozmówczyni, sąsiadki z dołu.

 Rozmawiamy o różnych sprawach, nawet, a właściwie w szczególności, o tych mało istotnych. Lubię takie popołudnia, kiedy mogę zatracić się w pogawędce. Słyszę, jak
w pokoju obok moje osobiste dzieci próbują skontaktować się z mieszkającymi piętro niżej przyjaciółmi, uderzając w rury od kaloryfera zgodnie z ustalonym kodem. W tle brzęczy radio, a w nim emocjonująca relacja komentatora z trwającego właśnie wyścigu kolarskiego. No cóż, Wyścigiem Pokoju żyje nie od dziś cały kraj! Przymykam powieki. Próbuję wyłapać padające z anteny słowa. Właściwie nie znam większości wykrzykiwanych przez sprawozdawcę fachowych określeń, mimo to oczami wyobraźni dokładnie widzę pochylone sylwetki pędzących po szosie kolarzy. Zaraz pewnie dojadą do mety. Biorę łyk gorącej kawy, odrywam się od kolarstwa szosowego i wracam do rozmowy.

 \*

- No ciężkie czasy to były, ale jakoś się je przeżyło… - kończy babcia.

- Wiesz co, aż trudno mi uwierzyć, że to wszystko działo się tak niedawno. Żyłaś w całkiem innych i do tego naprawdę dziwnych czasach! – dopowiadam, rozmyślając nad tym, z czym musieli się mierzyć babcia, dziadek, mama, tato i wszyscy inni ludzie żyjący w Polsce przed czterdziestoma laty. Biorę do ręki pamiętający dawne czasy metalowy koszyczek z osadzoną w nim szklanką. Nie zauważyłam nawet, kiedy zdążyła wystygnąć, ale dopijam ten ostatni łyk zimnej już herbaty.